

Walka do południa, do wieczora...

Dorota Sula

Mordercza praca w kamieniołomie obozu Groß-Rosen sprawiała, że więźniowie byli gotowi zjeść cokolwiek, nawet zwierzę domowe.

Pierwszy transport obejmujący stu więźniów przybył z KL Sachsenhausen 2 sierpnia 1940 roku. Tę grupę przywieziono samochodami niemal pod samą bramę obozową. Większość kolejnych transportów przybywała na małą stację Groß-Rosen. Drogę długości około 3 km ze stacji do obozu więźniowie pokonywali pieszo. Często w czasie drogi spotykały ich szykany ze strony mieszkańców, o czym jeden z więźniów, Kazimierz Wrycza, po latach napisał w swoich *Wspomnieniach*: „Przemarsz takiej dużej ilości ludzi wzbudził zainteresowanie ludności. Zgromadziła się ona przed domami i z nienawiścią spoglądała na nas. Smarkacze z Hitlerjugend podszczucili przez starszych mieszkańców obrzucali nas kamieniami i wyzwiskami. Zauważyłem, że również kobiety rzucały w więźniów kamieniami. Znaleźliśmy się wśród innych ludzi. Tam w Polsce każdy nam, jak mógł, pomagał, tu na każdym kroku wróg, gotowy pomóc SS-manom, by nas zniszczyć”.

„Cenny granit dla Wielkiej Rzeszy”

Przy bramie obozowej sprawdzano listę transportową, a konwojenci otrzymywali pokwitowanie. Stanisław Wądołowski,

który znalazł się w pierwszym transportcie, swój przyjazd do obozu wspominał tak: „Nowo mianowany Lagerführer SS-Oberscharführer Anton Thumann wygłosił do nas przemówienie mniej więcej takiej treści: »Przyjechaliście tutaj budować nowy obóz. Po was będą przychodzić następne transporty więźniów. Będziecie wydobywać cenny granit dla potrzeb wielkiej Rzeszy. Wy – jako rasa niższa – podludzie, musicie ze wszystkich sił pracować i tylko pracować. Ociąganie się w pracy, niedbałe jej wykonywanie będzie natychmiast surowo karane, do śmierci włącznie«. Był wtedy piękny, słoneczny dzień, 2 sierpnia 1940, godzina około szóstej po południu”.

Przybycie każdego transportu było w życiu obozowym ważnym wydarzeniem i budziło spore emocje. Więźniowie często wspominają wielkie poruszenie, które wywołało przybycie transportów z powstańczej Warszawy. Dopiero gdy w następnych transportach przywieziono kolejnych uczestników Powstania, więźniowie poznali rozmiar walk i tragizm walczących. Pozyskiwane w ten sposób informacje były niejednokrotnie przekazywane współwięźniom i dość szybko się rozchodziły.

„W pierwszych latach przekroczenie bramy obozu następowało zwykle w biegu, wśród bicia, krzyku esesmanów

i szczekania psów. [...] Bieg kończył się przed łaźnią. Tam odbywał się pierwszy przegląd ustawionych w piątki i zneruchomiałych na baczność więźniów i ponowne sprawdzanie ich liczby. Następnie na komendę więźniowie zrzucali cywilne ubrania, wiążąc je w tobołki. [...] Gołono błyskawicznie owłosienie, po czym następowała kąpiel, na przemian w ukropie, to znów w lodowatej wodzie” – wspominał Mieczysław Mołdawa, więzień Groß-Rosen i innych niemieckich obozów.

Potem więźniowie musieli w locie chwycić części ubrania, przydzielane jak popadło, i w ciągu paru sekund włożyć je na mokre ciało. Trzeba było jeszcze podać, kogo zawiadomić na wypadek śmierci. Wtedy więzień po raz ostatni słyszał swoje nazwisko. Tracił je z chwilą doręczenia mu numeru, który przeważnie musiał naszyć na bluzę i spodnie. Stały przydział do bloku mieszkalnego i do komanda pracy nowo przybyły otrzymywał po dwóch, trzech dniach, maksymalnie po tygodniu. W tym czasie uczono go błyskawicznego ustawiania się w szeregu, maszerowania krokiem defiladowym przy komendzie „Czapki z głów!”, zwozajowego i oficjalnego regulaminu obozowego oraz śpiewu piosenek niemieckich. Więźniem nowo przybyłym, czyli cugangiem, przestawał być każdy, kto przeżył w obozie około sześciu miesięcy. Latem więźniów budzono o brzasku, zimą o 5.30. Ubierali się błyskawicznie, po czym przybiegali do miejsca, w którym stało kamionkowe koryto. Tam myli się w strumieniach lodowatej wody. Następnie wypijali zupę. Porannego przeglądu więźniów i sprawdzenia porządku dokonywał blokowy. Jeśli stwierdził drobne uchybienie, wymierzał karę natychmiast, gdy brak było ▶



Obóz koncentracyjny Groß-Rosen założono w sąsiedztwie kamieniołomu we wsi Groß-Rosen (Rogoźnica), położonej w paśmie Wzgórz Strzegomskich na Dolnym Śląsku, należącym wówczas do Niemiec. Walory kamieniołomu granitu sprawiły, że zainteresowało się nim przedsiębiorstwo SS, występujące pod nazwą Deutsche Erd- und Steinwerke GmbH (w skrócie: DEST). 11 maja 1940 roku spółka DEST odkupiła zakład w Groß-Rosen od dotychczasowej właścicielki, Margaretę Hay, za 0,5 mln marek. Jednocześnie przedstawiciele DEST zawarli umowę dzierżawy gruntów położonych wokół kamieniołomu, należących do barona Georga von Richthofena. Nowe kieniołomstwo kamieniołomu, chcąc zwiększyć produkcję kamienia, postanowiło skorzystać z rozwiązania przyjętego już w zakładzie obróbki granitu spółki DEST, zlokalizowanym przy obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, w którym wykorzystano więźniów tego obozu. Podjęto więc decyzję o utworzeniu w Groß-Rosen filii Konzentrationslager (KL) Sachsenhausen. Pierwsza grupa więźniów przybyła do Groß-Rosen – wówczas mającego status obozu pracy (Arbeitslager) – w sierpniu 1940 roku. Interesy gospodarcze SS i względy praktyczne przesądziły o przekształceniu podobozu Groß-Rosen w samodzielny obóz koncentracyjny. 1 maja 1941 roku Arbeitslager Groß-Rosen został wyłączony spod administracji KL Sachsenhausen. W latach 1942–1944 obóz rozbudowano – powstało m.in. około stu podobozów. Przez KL Groß-Rosen przeszło co najmniej 120 tys. więźniów, pochodzących z ponad dwudziestu państw. Przeważali obywatele polscy (w tym narodowości żydowskiej). Znaczącą grupę stanowili węgierscy Żydzi i obywatele Związku Radzieckiego. Około 40 tys. więźniów straciło życie.

czasu – wieczorem wzywał więźnia na „ćwiczenia”, jak eufemistycznie określano tortury. Apel zaczynał się od wysłuchania meldunku o liczbie więźniów. Jeśli suma żywych i umarłych się zgadzała, to po trwającym mniej więcej pół godziny przeliczaniu więźniów, padał rozkaz odnalezienia swojego komanda roboczego. Zimą kolumny wychodziły z obozu, gdy tylko się rozwidniało, latem przed 6.00. Kolejny apel był w porze obiadowej, w południe. Obiad trwał ok. 10 minut; w niektórych blokach nie dawano łyżek, więźniowie wypijali zupę, a „gęste” wybierali ręką.

W kamieniołomie więźniów dzielono na komanda. „Jedni podążają do baraków obsługiwać wyciągi, krany, maszyny. Inni stają przy kolibach i wózkach. Nieduża stosunkowo liczba więźniów ma nosić bloki skalne na przestrzeni 100, 200 i 300 czasem metrów od miejsca wylądowania z wyciągów do kolib. Najlicniejsza partia, licząca ponad 500 straceńców, schodzi upłazami po drewnianych, zmurszałych drabinach z jednej półki skalnej na drugą, w pięćdziesięciometrową czelusć” – opisywał w *Powrocie z piekła hitlerowskiego* Antoni Gładysz.

Zjeść choćby kota

Pierwsze lata funkcjonowania obozu to dla więźniów szczególnie ciężki okres. Przyczyną tego były prymitywne warunki mieszkaniowe – w niewykończonych

barakach brakowało łóżek, sienników – i sanitarne: w obozie nie było bieżącej wody ani umywalni. Więźniowie kąpali się w basenach z wodą niezmienną przez dłuższy czas. Brakowało mydła i ręczników. Do tego dochodziły ciężka praca, głód, szykanowanie przez esesmanów i więźniów funkcyjnych. Bardzo często trzeba też było pracować w nocy, a także w niedziele i święta. „Cały tryb życia w obozie był nastawiony metodycznie na znęcanie się i złamanie więźnia fizyczne i psychiczne” – podsumowuje historyk Zdzisław Łukaszkiewicz.

Z czasem więźniowie przyzwyczajali się do ekstremalnych warunków panujących w obozie. Antoni Gładysz: „Oswajałem się z niebezpieczeństwami i przykrościami, jakie na nas co krok czyhały. Trudniej było pogodzić się z widokiem potworności, na jakie ciągle musiało się patrzeć. Ale – wstyd powiedzieć – najtrudniej było zwalczyć uczucie głodu. Tego nikt nie potrafił. [...] W obozie każdy dzień schodził na ciężkiej, wyczerpującej pracy, na przemarszach z obozu do kamieniołomu i z powrotem, na staniu w kolejkach i na długich, bardzo uciążliwych apelach. Wieczory były koszmarnie. [Błokowy Karol] Kirchmann nie pozwalał na rozmowy, a my pomimo ogromnego zmęczenia długo nie mogliśmy zasnąć, gdyż sen ploszyły różne dolegliwości i uczucie głodu. Dokuczały wszy i inne kaśliwe robactwo. Walczyliśmy wszyscy z tą plagą i chyba dość skutecznie, gdyż owa armia nie zwiększała się, a w pewnych okresach nawet malała”.

To, że najtrudniej było oswoić się z głodem, potwierdzał Jerzy Jędrzejczyk. Najgorsze, jak wspominał, były godziny między wydawaniem posiłków. Wielu więźniów próbowało zaspokoić głód wszystkim, co uznali za możliwe do zjedzenia. Skutki tego były często tragiczne. „Myśl o najedzeniu się do syta była jednym z głównych pragnień. Dla zaspokojenia tego marzenia wielu więźniów gotowych było na wszystko. Tak np. w kuchni kamieniołomów uwagę więźniów przykuwał dobrze upasiony kot. [...] Niesamowitym wydarzeniem stał się fakt, kiedy kot ten już zabity, znalazł się na

► Kamieniołom – źródło „cennego granitu dla Wielkiej Rzeszy”



Fot. M. Fokas

Fot. M. Foks



► Zrekonstruowana izba więzienna

bloku siódmym. Kilku ryzykantów podjęło trud jego ugotowania” – pisał z kolei Roman Olszyna.

W tak ekstremalnych warunkach konieczne było wypracowanie „strategii przeżycia”. Jedną z reguł polegała na tym, aby być niezauważalnym, nie zwracać na siebie uwagi któregoś z ewentualnych dręczycieli. Ważne było również szybkie zrozumienie faktu, że nie można uratować się samemu, lecz tylko z pomocą innych. Z tego względu każdy z więźniów próbował znaleźć w bloku lub gdziekolwiek jakiegoś sprzymierzeńca. Ważne było też pozyskanie kontaktów z kuchnią czy rewirem (szpitalem obozowym). Poczucie więzi rozwijało się wśród więźniów tej samej narodowości, przekonań politycznych lub kategorii obozowej. „Trzymali się zwykle razem więźniowie pochodzący z jednej miejscowości lub o podobnych zainteresowaniach. Dziwna rzecz, łączył z sobą ludzi sam fakt przybycia w jednym transporcie, choć o zestawieniu tych transportów decydował czysty przypadek. Tym, co spajało, była chyba wspólność pierwszych obozowych przeżyć” – oceniał Antoni Gładysz.

Pejcz, słupek, nocne odwiedzin

12 grudnia 1942 roku komendant obozu wydał regulamin, zgodnie z którym pobudka następowała w czasie oznaczonym przez komendanta, a koniec dnia (cap-

stryk) o 21.00 w lecie i 20.00 w zimie. Każdy rozkaz miał być spełniany natychmiast i bez sprzeciwu. Więźniowie mieli być karani za upór, ale też za załatwianie naturalnych potrzeb w dowolnych miejscach. Regulamin głosił ponadto: „odzież więźnia (spodnie, kurtka, buty i czapka) stanowi własność państwa i powinna być utrzymywana w stałej czystości. W razie ustalenia, że odzież została rozmyślnie rozerwana, zostanie wymierzona najsurowsza kara. [...] Więźniowie mogą otrzymywać produkty żywnościowe. Paczka powinna zawierać taką ilość pożywienia, jaką więzień jest w stanie skosztować w ciągu jednego dnia. [...] Każdy, kto czynnie napada albo przyjmuje groźną postawę wobec SS-mana będącego na warcie lub nadzorującego, zostanie zastrzelony”.

Jako karę najczęściej wymierzano razy bykowcem lub pejczem. Bardziej wymyślne sposoby znęcania się to chłosta na „koźle” (czyli na stojaku, taborecie lub skrzyni) albo kara „słupka”. Ta ostatnia wzięła swą nazwę od słupa oświetleniowego. Więzień, początkowo stojąc na stołku, wieszany był na słupie z rękami związanymi do tyłu. Po wykopnięciu stołka ramiona więźnia się wykręcały. Uwalniano go najczęściej dopiero po kilku godzinach cierpienia. Nie wszyscy więźniowie przeżyli te okrutne tortury. Podczas chłódów stosowano jeszcze jedną formę dręczenia: członkowie SS lub

kapo oblewali więźnia wodą i zmuszali go do stania przez jakiś czas na zimnie, czego następstwem w najlepszym wypadku było zapalenie płuc. Niektórzy blockführerzy mieli zwyczaj nocnych odwiedzin, podczas których zmuszali więźniów do musztry lub ćwiczeń.

Dopiero od jesieni 1943 roku, gdy komendantem obozu został Johannes Hassebroek, zmieniły się stosunki w KL Groß-Rosen. Hassebroek zezwolił na karanie biciem na „koźle”, ale zabronił samowolnego znęcania się nad więźniami, co za rządów poprzednich komendantów było codziennością. Ograniczone zostały „nocne odwiedzin” członków SS w barakach więźniów oraz rozstrzeliwania „podczas ucieczki”, czyli pod pretekstem rzekomej próby ucieczki. Dzięki rozbudowie niektórych urządzeń sanitarnych nastąpiła również poprawa warunków higieny.

Los więźniów był szczególnie tragiczny w pierwszych dwóch latach funkcjonowania KL Groß-Rosen. Prawie każdy miał opuchnięte stopy i ropiejące rany. Zdecydowana większość cierpiała na niedożywienie oraz przewlekłe biegunki, powodujące ogólne wycieńczenie, co przy niewystarczającej opiece medycznej i braku leków prowadziło do dużej śmiertelności. Warunki w obozie głównym uległy znacznemu pogorszeniu w ostatnim kwartale 1944 roku, kiedy zaczęły napływać liczne transporty ewakuacyjne oraz transporty z powstańczej Warszawy. Przepelnienie obozu było tak duże, że zapewnienie dachu nad głową stanowiło duży problem. Brakowało również wyżywienia, a paczki, które dotychczas były jakimś ratunkiem, przestały dochodzić. W tym czasie śmiertelność przybrała ogromne rozmiary.

Życie w obozie koncentracyjnym było ciągłą walką – „walką prawie beznadziejną o przetrwanie, o przeżycie do południa, do wieczora”, jak to określił Stanisław Wądołowski. O wielkim szczęściu mogli mówić ci, którzy wyszli z niej zwycięsko. ■

dr Dorota Sula – historyk, starszy kustosz w Muzeum Gross-Rosen; autorka m.in. książek *Arbeitslager Riese. Filia KL Gross-Rosen* (2003) oraz *Życie kulturalne i religijne więźniów w KL Gross-Rosen* (2007)